К официальному вахтенному журналу похода по Онежскому озеру (на русском языке)
— 15 страниц по около 50 килобайтов.

Do oficjalnego dziennika pokładowego (w języku rosyjskim)
–– 15 stron po około 50 kB

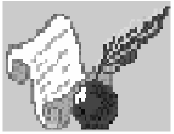

Jezioro Onega
lipiec 1997

Nieoczekiwany faks od Alioszy z Kaliningradu:

> *Wybieramy się z przyjacielem w podróż po jeziorze Onega na łódce żaglowo−wiosłowej, którą sami zbudowaliśmy jeszcze w Murmańsku. Jeśli masz czas i chęć, w łódce jest miejsce na trzech.*

Pewnie, że mam chęć i to taką, że czas się znajdzie, choćbym go miał wytrzasnąć spod ziemi. Onega jest drugim co do wielkości jeziorem Europy, po Ładodze. Obaj rekordziści znajdują się na południowym skraju rosyjskiej Karelii, na NE od Sankt−Petersburga. To już jest prawdziwa Rosja a nie jakieś tam *Podmoskowje* czy *Kaliningradskaja obłast'*.

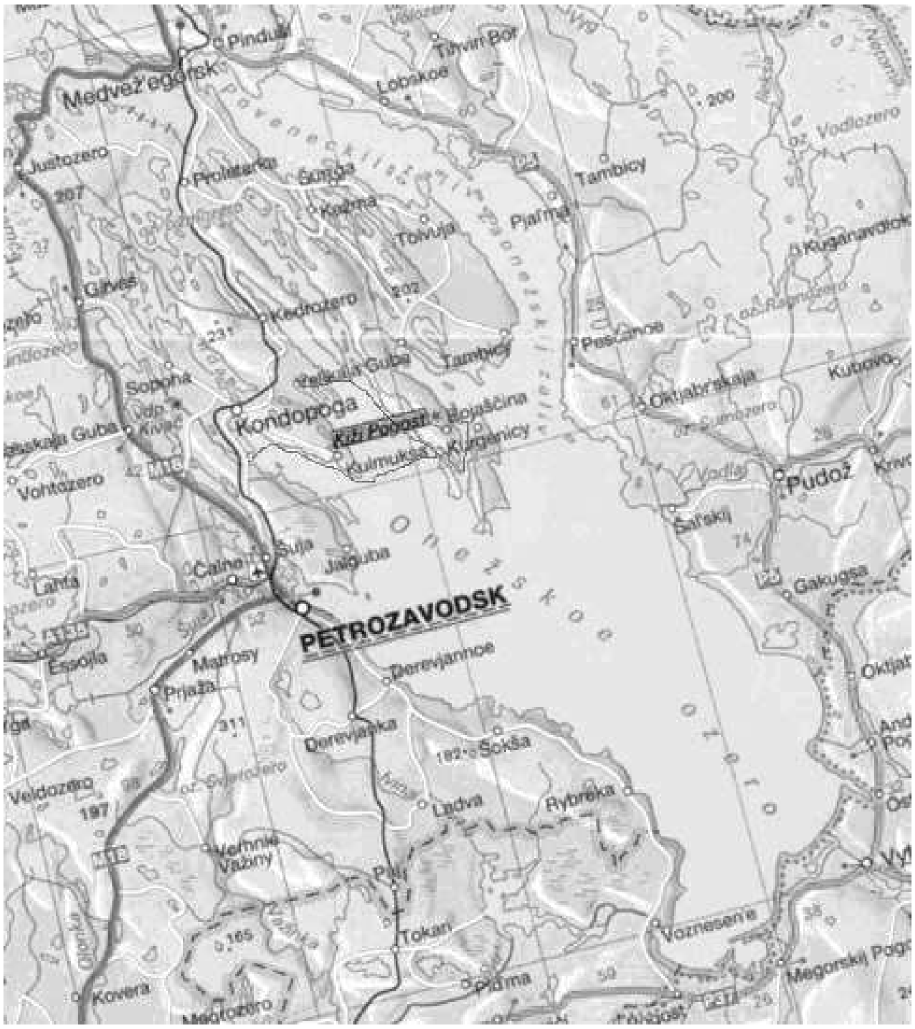

Jez. Onega (ten czerwony wihajster to nasza przybliżona trasa)

Zatoka Gdańska i Jez.Śniardwy
w tej samej skali

Udało mi się namówić Alioszę do takiej zmiany terminów, że mogę wziąć udział w konferencji w Warszawie, prosto z niej udać się na Onegę a następnie zdążyć jeszcze w Horhany na Ukrainie z Klubem Karpackim. W międzyczasie nie mam szans na powrót do Gdańska, muszę więc zabrać ze sobą do Warszawy trzy różne ekwipunki: konferencyjny, wodny i górski.

Zarówno na Onegę jak w Horhany muszę mieć ze sobą jedzenie na całą wędrówkę a w przerwach nie starczy mi czasu na ambitniejsze zakupy. Wiozę więc ze sobą do Warszawy dwa olbrzymie plecaki z mnóstwem sprzętu i jedzeniem na prawie miesiąc. Mniejsza o wagę, w końcu pociąg udźwignie, ale mam poważne trudności z objętością. Problemem jest też logistyka poszczególnych przepakowań: co zostawić w jakiej przechowalni i obok czego mogą leżeć ubrania konferencyjne, żeby się nie pogniotły i nie przeszły zapachem proteiny sojowej stanowiącej podstawę wielodniowego wyżywienia.

W dodatku z nieba przez cały czas leje się *sumassziedszaja żara*, jak to ładnie określa Aliosza.

Piątek, 4.VII

Wyjeżdżam polskim autobusem z dworca Warszawa–Stadion. W autobusie oprócz 2 kierowców i mnie są sami Rosjanie, *czierlnoki* czyli czółenka, stale kursujący między Warszawą i Kaliningradem i wożący towary. Niewielu –– razem ze mną wszystkiego 10 pasażerów. Na przejściu granicznym w Bezledach celnicy są w dobrym humorze i żartują z czółenkami z ich turystycznych paszportów (jak odpoczęliście? co zwiedziliście? czy Polacy mają ciekawe zabytki?). Zażywna jejmość chce wyswatać swoją nieobecną siostrę polskiemu WOPiście, ale ten żąda najpierw zdjęcia dziewczyny.

Rosyjski celnik pyta, co mam w plecaku; odpowiadam, że *spasatielnyj żiliet*. Jeśli tak, to mogę iść. Nabrałem go: to jest kamizelka asekuracyjna a nie ratunkowa, o wyporności zaledwie 5 kG. Nie sądzę, żeby celnikowi robiło to jakąkolwiek różnicę, a „ratunkowa'' lepiej brzmi. Aliosza bardzo naciskał na to, żebym przywiózł ze sobą taki sprzęt.

Do Kaliningradu dojeżdżamy o godzinę wcześniej niż to jest przewidziane w rozkładzie jazdy. Oczywiście Alioszy nie ma jeszcze na dworcu. Żeton telefoniczny kosztuje 900 rubli; nie mogą mi go sprzedać, bo nie mają 100 rubli reszty z tysiąca. Aluzję zrozumiałem i proszę o żeton *biez sdaczi*.

Okazuje się, że Aliosza jest na panicznym etapie przygotowań, rzeczy mu się nie mieszczą w plecaku, jeszcze nie wszystko kupił, czasu mało; w dodatku niespodziewanie przyjechał do nich kuzyn. Będę nocował u jego teściowej, mam sam dojechać pod hotel *Kaliningrad*, tam przyjdzie po mnie Natasza (żona Alioszy) i mam się nie spieszyć, bo ona ma dużo dalej niż ja. Niestety autobus zajeżdża prawie natychmiast i mam mnóstwo czasu, żeby posiedzieć na murku pod hotelem i zaktualizować niniejszy dziennik.

Dwaj chłopcy całkiem niezłym niemieckim proponują mi nabycie widokówek z Kaliningradu po 1 DEM. Wymawiam się grzecznie po rosyjsku. Fascynuje ich mój wielki plecak, rozmawiamy o Kaliningradzie i o Olsztynie, gdzie jeden z nich raz był. W końcu dają mi dwie widokówki w prezencie. W zamian daję im w prezencie 6 tys. rubli –– to jest mniej niż 2 marki, ale jestem przekonany, że nie będą stratni. Chłopcy twierdzą, że ich obrót na widokówkach wynosi ok. 50 DEM dziennie, a w tym ok. 30 DEM czystego zysku. Przypuszczam, że Aliosza o takich zarobkach nawet nie marzy w tym swoim instytucie...

Niestety nie pamiętam imienia i imienia ojca mamy Nataszy, wzajemne przedstawianie się przemknęło szybko i wstydzę się zapytać ponownie. Nie mogę więc zwracać się do niej naprawdę po rosyjsku. Jestem całkowicie pod jej opiekuńczymi skrzydłami i odpowiedzialnością, żadnej samodzielności się z mojej strony nie oczekuje. Przede wszystkim mam powiedzieć, co zjem, w jakiej kolejności i w jakiej ilości. Natasza już wcześniej uprzedziła ją o moim wegetarianizmie –– dziwi się, ale szanuje tą fanaberię; a ilość wszystkiego będzie i tak dwukrotnie większa. Póki co biorę zimną kąpiel (sezonowa przerwa w dostawie gorącej wody), po czym wywalczam sobie prawo do osobistego umycia po sobie wanny i niezostawiania tego zajęcia starszej kobiecie. Po bardzo upalnym dniu wypełnionym dźwiganiem ciężkich plecaków między warszawskimi dworcami a następnie podróżą autobusową ta kąpiel jest mi bardzo potrzebna.

Wieczorem pijemy herbatę i oglądamy pamiątki rodzinne mamy Nataszy a także jej drzewo genealogiczne (jeden car i kilku wielkich książąt w rodzinie) oraz dokumenty związane z prześladowaniami po Rewolucji Październikowej. Z historii najnowszej: mama Nataszy osobiście zna prezydenta Jelcyna a z jego żoną pracowała kiedyś przy tym samym biurku. To są dobrzy ludzie a Borys Nikołajewicz jest wspaniałym prezydentem. Zasypiam uspokojony tym oświadczeniem.

Sobota, 5.VII

Targowisko miejskie w Kaliningradzie wypełnione jest towarami z Polski. To robota czółenek. Rozumiem teraz, dlaczego mama Nataszy mówiła, że Kaliningrad jest filią Polski. Tylko w nabiale ustępujemy na tym rynku Litwie. Towary rosyjskie może i są, ale ja na nie nie natrafiam. Nawet ogórki i pomidory, których kilka chcę kupić na drogę, pochodzą podobno z Polski. Wytchnienie przychodzi dopiero w piekarni, gdzie nabywam rosyjski ciemny chlebek *borodinskij*. Bardzo smaczny.

Mama Nataszy zawozi mnie autobusem na dworzec; tam spotykamy się wreszcie z Nataszą, Alioszą, jego olbrzymim plecakiem własnej roboty oraz z parą wioseł do łódki. Okazuje się, że łódka pływała dotąd na wiosłach pożyczonych od sąsiada ale w końcu udało się kupić jej własne. W zapełnionym wagonie *płackartnym* wyglądają na surrealistycznie wielkie, z trudem mieszczą się nad korytarzem.

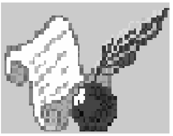

W tym miejscu zaczyna się dziennik pokładowy naszego okrętu. Większość wpisów w nim pochodzi od Alioszy, ale Misza i ja też się dzielnie przyczynialiśmy. Aliosza przepisał go na czysto na maszynie i jeśli umiesz czytać po rosyjsku, to Cię do niego zapraszam. Ponieważ dziennik jest dostępny publicznie, więc czuję się zwolniony ze szczegółowego relacjonowania wydarzeń, które znalazły w nim godne odbicie.

Pociąg rusza, ale ożywczy powiew wiatru nie przychodzi. Mamy pecha: nasze miejsca są w samym środku bloku złożonego z siedmiu przedziałów o nieotwieralnych oknach. Jesteśmy zlani potem a dwie starsze panie obok skarżą się na serce. Interweniujemy u konduktorki –– niestety otwarcie okien nie leży w jej możliwościach. Podobno niedawno wagon był w rękach cieśli, otworzyli te okna, które się dało, a pozostałym nie dali rady. Jak cieśle nie poradzili, to co może konduktorka? Przytykam rękę do kratki wentylacyjnej w suficie i nie czuję najmniejszego powiewu. Zwracam na to uwagę konduktorce i otrzymuję obietnicę, że wentylacja zostanie włączona. Istotnie, po chwili kratka zaczyna pracować i po jakiejś godzinie powietrze robi się trochę mniej ciężkie. Jest to tylko chwilowa ulga, bo wentylacja wyłącza się sama z siebie co jakiś czas. W ciągu najbliższej doby będę jeszcze wielokrotnie interweniował u konduktorki w tej sprawie. Ze zmiennym skutkiem. W którymś momencie zniecierpliwiona moimi nagabywaniami mówi, żebym poczekał, bo niedługo będzie przechodził elektryk i otworzy okna. Elektryk otworzy, skoro cieślom się nie udało? Tak, bo *u niego pałka*. Przestajemy wierzyć w tych cieśli.

Starając się zbytnio nie spocić badamy konstrukcję okna. Gdyby tylko udało się zdjąć tą grubą ramę, która zasłania wszystkie ważne elementy regulacji! Aliosza i jeszcze jakiś pasażer są skłonni zrezygnować z prób usunięcia ramy, ja jednak nie jestem Rosjaninem i wiem, że w tych warunkach nie zasnę. Idę więc ponownie do konduktorki i proszę ją o trójkątny klucz ogólnokolejowy. Triumfalnie wracam z kluczem i znowu we trzech przystępujemy do pracy nad ramą a towarzyszą nam błogosławieństwa ze strony staruszek. W końcu rama odchodzi i z okna sypią się tumany kurzu. Odstawiamy ją na korytarz i badamy okno. Niestety, ani drgnie. Prawdopodobnie trzyma je gruba listwa przybita pod dolną krawędź specjalnie po to, żeby się nie otwierało. Cieśle zapewnie byli, ale nie w celu otwarcia okna na lato, tylko w celu jego zamknięcia przed zimą. Montujemy na powrót ramę i poddajemy się ostatecznie. Ja odnoszę klucz konduktorce i na pół godziny zamykam się w ubikacji, gdzie okno jest otwarte, w celu osuszenia potu i nałykania się zapasu powietrza na pół nocy. W międzyczasie wszyscy jakoś się rozłożyli, nie ruszają się więcej niż to konieczne i czekają na elektryka z drągiem, w którego istnienie nikt zresztą nie wierzy. Rosjanie są mistrzami cierpliwego czekania.

Pospieszny z Kaliningradu do Sankt–Petersburga jedzie około doby. Dawniej, za ZSRR, jechał o 6 godzin krócej, bo nie było granic. Teraz po drodze leżą niezależne państwa Litwa i Łotwa, więc Rosjanie muszą dwa razy dokonywać kontroli granicznej i celnej. Urzędnicy litewscy i łotewscy sprawiają wrażenie, jakby ten eksterytorialny pociąg razem z jego zawartością w ogóle ich nie interesował i nie zaszczycają nas stemplami w paszportach.

Wagon *płackartnyj* to coś w rodzaju naszych kuszetek tylko gorzej rozwiązany. Wagon dzieli się na jakieś 10 przedziałów (mniej więcej tak jak u nas), ale dużo bardziej otwartych dla osób przechodzących korytarzem. W każdym przedziale są na każdej ścianie dwie leżanki jedna nad drugą (u nas trzy); w dodatku po drugiej stronie korytarza jest stolik z siedzeniami dający zamienić się w leżankę a nad nim też jest leżanka. W sumie więc miejsc leżących jest w wagonie tyle co w naszym (a może trochę mniej?); ale nie ma za grosz intymności. Nocą przechodzi się korytarzem bezpośrednio pomiędzy jakimiś powystawianymi spod prześcieradeł nogami i słyszy się wszystkie chrapania z całego wagonu. Ludzie publicznie jedzą, publicznie się przebierają a kobiety publicznie robią sobie makijaż. Czynienie tego w ustępie jest aspołeczne, bo tam jest zawsze długa kolejka oczekujących. Być może dlatego, że konduktorka ma obowiązek zamknąć go na klucz na godzinę przed każdą stacją i ma prawo otworzyć dopiero godzinę po minięciu stacji. Aliosza tlumaczył, że to z powodów sanitarnych i dziwił się, że tak nie robią w Polsce. Jednak wg mojej obserwacji te godziny trwają (na szczęście dla podróżnych) nie dłużej niż 15 minut.

Niedziela, 6.VII

Opuszczenie pociągu w Sankt–Petersburgu przyjmuję jak wyjście na wolność po długim pobycie w kamieniołomie. Oddajemy dwa plecaki i wiosła do przechowalni bagażowej i idziemy na miasto. I oto uśmiecha się do nas ogromne szczęście: po pierwsze natrafiamy na otwartą mimo niedzieli księgarnię, po drugie w tej księgarni nabywamy 2 atlasy Karelii w skali 1:200tys. Najlepsza mapa, jaką udało mi się kupić w Polsce ma skalę 1:2mln i obejmuje całą Europę północną razem z Norwegią i Danią. Najlepsza mapa Alioszy ma skalę 1:500tys. Na okładce atlasu widnieje cerkiew ze skansenu na wyspie Kiżi, która leży na planowanej trasie naszej wędrówki.

Zabytków Petersburga ani ogólnego stylu miasta nie zamierzam opisywać. Muszę jednak wspomnieć dwa fakty, które każą mi patrzeć na niego jak na miasto na wskroś nowoczesne. Otóż na wystawie sklepu znajduję kuchenki gazowe i kartusze obu używanych u nas typów: Epigazy i Bluety. Niestety nie widzę przy nich cen a sklep jest (z powodu niedzieli) zamknięty. Zakup nie jest mi potrzebny, bo zaopatrzyłem się obficie w Polsce a gotować i tak zamierzamy na ogniskach. Ale dobrze na przyszłość wiedzieć, że w razie czego nie zostaje się na lodzie. Drugie świadectwo nowoczesności to plaża w środku miasta pod murami *Pietropawłowskoj krieposti*, gdzie panuje duch pełnej wolności. Mimo wyraźnego zakazu kąpieli wiele osób używa wód Newy zgodnie z ich naturalnym przeznaczeniem, ja też zmywam z siebie na ile potrafię ślady nocnej podróży koleją, większość jednak tylko się opala. Wśród nich zgrabna dziewczyna w samych majteczkach bez stanika opala sobie wcale nie tylko plecy. Przechodzący ludzie przyglądają się jej piersiom z widoczną przyjemnością, lecz nie zdradzają żadnych oznak zdziwienia czy sensacji.

Wieczorem wsiadamy do pociągu do stolicy Karelii –– Pietrozawodska. Przede wszystkim stwierdzam z ulgą, że nasze okno daje się otworzyć. Potem wraz z Alioszą pomagamy rozmieścić bagaże jadącym z nami Świadkom Jehowy. Wracają z jakiegoś kongresu w Petersburgu, wiem o tym z plakietek na ich ubraniach, sami nie zdradzają ochoty do rozmowy. Aliosza uważa, że to bardzo niebezpieczna sekta. Dla równowagi przypominam, że Świadkowie Jehowy odmawiali służby wojskowej i ponosili tego konsekwencje w czasach, gdy konsekwencje te były bardzo nieprzyjemne. Zgadzamy się w końcu, że każdy plus ma dwa minusy i to wzajemnie ortogonalne.

Smacznie zasypiam na górnej leżance głową w samym środku wiatru z otwartego okna. Oczywiście niczym się nie przykrywam a zwinięty śpiwór używam jako poduszkę. Lipcowy upał na północy Europy może być bardziej męczący niż na południu, bo nie ma nocy przynoszącej wytchnienie.

Poniedziałek, 7.VII

Pospieszny z Sankt–Petersburga (przez większość ludzi stale nazywanego Leningradem) jedzie do Pietrozawodska całą noc. Na stacji czeka na nas Misza z Murmańska, nasz trzeci załogant i właściciel łódki. Zabiera nas swoim *Żiguli*40 km do daczy swojego ojca nad jeziorem *Gadozjero*, gdzie czeka na nas nasza jednostka pływająca. Wczoraj Misza też czekał na dworcu w Pietrozawodsku, bo pomylił datę naszego przyjazdu. To nie szkodzi, to nie jest daleko, przy tutejszych odległościach 80 km się nie liczy, *nicziego, napliewat'*.

Główną miejscową sensacją są wakacje prezydenta Jelcyna w miejscowości *Szujskaja Czupa* nad jeziorem *Konczozjero* w odległości ok. 10 km od daczy Aleksandra Iwanowicza, ojca Miszy. Wiemy już o tym z gazety kupionej na drogę, ale Misza podaje nam dodatkowe szczegóły dotyczące głównie utrudnień komunikacyjnych w okolicy oraz ilości nowych posterunków *GAI* czyli policji drogowej. Wszyscy są trochę źli na stosowane środki bezpieczeństwa, ale głównie dumni z tego, że mają dacze w tak dobrym miejscu. Gdyby to było na Zachodzie, to pewnie ceny działek skoczyłyby w górę.

Większość nazw jezior w okolicy kończy się na „ *...ozjero*''. Ktoś tak przełożył na rosyjski jakieś stare karelskie nazwy i się przyjęło. Podobnie wiele wysp kończy się na „*...ostrow*'' a sporo rzeczek na „*...ruczicj*''.

Dacza jest mała i skromna, ale (jak większość) ma własną osobno stojącą łaźnię. Poznajemy się z Aleksandrem Iwanowiczem i Albiną Dmitriewną, rodzicami Miszy. Zaraz pada pytanie, co chcielibyśmy zjeść, ale tu jesteśmy z Alioszą zgodni: najpierw kąpiel w jeziorze. Mimo wczesnej pory dnia (ok. 8:00 rano) panuje dziki upał a woda w jeziorze jest jak ciepła zupa. Nie tak sobie wyobrażałem surową Karelię. Mojemu zdziwieniu dziwi się Misza: przyjechał z Murmańska 1000 km na południe i liczył na to, że będzie ciepło. Nie przeliczył się.

Dziwię się po raz kolejny na widok łódki. Oczywiście nie spodziewałem się eleganckiego jachtu, ale myślałem, że zapowiadana *parusno–griebnaja łodka*to coś w rodzaju małej szalupy ratunkowej z dawnych statków; mała ale mocna i dzielna, dostosowana do trudnych warunków mogących zapanować na jeziorze wielkości małego morza. Tymczasem jest to samoróbka złożona z dwóch oddzielnych części –– dzioba i rufy –– złączonych na jakieś niezbyt grube śruby z nakrętkami. To po to, żeby dawała się łatwo transportować na małej przyczepce samochodowej. Długość: 4 metry. Dno płaskie, dziób wysoko, rufa wysoko, środek dużo niższy żeby ułatwić wiosłowanie; każda fala wyższa niż 50 cm musi się tędy wlać do środka. Poszycie z grubej (10 mm) sklejki. Ani śladu półpokładów, forpiku czy achterpiku; nasze bagaże będą przez kilka dni leżeć na zalewanej wodą kupie w środku łódki. Na szczęście jesteśmy dobrze wyposażeni w duże worki nieprzemakalne.

Jest jedna ławeczka dla wioślarza; pozostałe osoby muszą siedzieć na dnie łódki. Nie ma możliwości żadnego ambitniejszego balastowania. Na moje oko ster ma zbyt małą płetwę (też ze sklejki). Misza twierdzi, że nie miał z tym żadnych problemów, ale przyznaje, że pływał głównie na wiosłach a na żaglu tylko przy słabiutkim wiaterku. Miecz jak w Kadetach –– deska wsuwana od góry w skrzynię mieczową –– tyle że toporna i o prostokątnym przekroju, bez troski o opływowość. Metalowy maszt umieszcza się w dziurze w belce wzmacniającej burty i w drugiej dziurze w przymocowanej do zęzy stopie masztu. Rozwiązanie jak z desek windsurfingowych: żadnych want czy sztagów, przy wybieraniu i luzowaniu talii maszt obraca się w tych swoich dziurach. Bawełniany żagiel nałożony od góry na maszt nie daje się zrzucić, ale można go owinąć wokół masztu. W tym celu należy odczepić od drewnianego bomu jego róg szotowy; lik dolny i tak jest zawsze wolny. Na noku bomu jest surrealistyczny bloczek i abstrakcyjna knaga zaciskowa. Na całej łódce ani jednej szekli. To ostatnie zresztą przewidziałem zawczasu i mogę podarować łódce 5 szekli przywiezionych z Polski.

Próbnie spuszczamy nasz statek na wodę. Jest to zresztą najsensowniejsze miejsce, w którym można przebywać przy takim upale. Znajdujemy trochę wiatru i wtedy wychodzi na jaw, że tylko ja potrafię żeglować. Aliosza zawsze był specjalistą od wiosłowych łodzi, kajaków i katamaranów. Coś tam wie o zasadach żeglowania, ale ta jego wiedza musi poczekać na silniejszy wiatr, bo w takich „niuansach'' to on się gubi. Misza uczestniczył w rejsach po Bałtyku na dużym statku żaglowym, ale tylko jako załogant i bez podejmowania samodzielnych decyzji. Przy dobijaniu zbliżam się baksztagiem do pomostu i zaskakuję obu nagłym wyostrzeniem do bajdewindu bez wybierania żagla. Dopiero po chwili Misza przypomina sobie, że oni też tak zawsze robili, żeby nie rozjechać pomostu. W tym wypadku jest to przerost formy nad treścią: wystarczyłaby wystawiona przed dziób noga w tenisówce. Jednak mój autorytet żeglarski zdecydowanie wzrasta.

Po obiedzie udajemy się do miasteczka *Kondopoga* po ostatnie zakupy. Po drodze trudności komunikacyjne, bo fabrykę celulozy w Kondopodze odwiedza Jelcyn. Wokół pełno *Gaisznikow* czyli funkcjonariuszy *GAI* –– skierowują ruch na różne trasy zastępcze. Kupujemy chleb, sucharki i puszkę farby, którą musimy namalować numer na burcie. Aliosza nabywa również zeszyt, w którym bedzie prowadził dziennik pokładowy. W drodze dyskutujemy, jak powinien się nazywać nasz statek. Proponuję, żeby z góry wykluczyć wszystkie imiona kobiece, bo jeśli go nazwiemy po żonie Miszy, to żonie Alioszy będzie przykro, jeśli odwrotnie, to żonie Miszy, a jeśli to będzie jeszcze inne imię kobiece, to obie zrobią awanturę. Aliosza proponuje jakiś ogólny termin określający kobietę, np. *krasawica* lub po ukraińsku *kralia*. Pytają mnie o podobne słowa w języku polskim, jednak nie przypada im do gustu ani ,,kobieta'' ani ,,dziewczyna''; dopiero dużo później wpadam na ,,pannę'' ale wtedy już mamy inne problemy na głowie. Zresztą w całej Kondopodze nie ma szampana, więc ceremonię chrztu i tak trzeba będzie odłożyć.

W międzyczasie Aleksandr Iwanowicz napalił w łaźni i przygotował *wieniki* –– miotełki z delikatnych gałązek brzozowych. Jak się klient już dobrze nagrzeje i wypoci, to taką miotełkę macza się w gorącej wodzie i lekko się nią chłoszcze, żeby jeszcze większe gorąco dostarczyć jeszcze bliżej ciała. W takiej rosyjskiej *bani* jest wilgotniej ale nie tak gorąco jak w fińskiej saunie. Z powodu większej ilości pary wodnej i tak trudno jest długo wytrzymać. Trzy razy się grzaliśmy i wskakiwaliśmy do jeziora. Potem uznaliśmy, że już starczy.

Przepakowujemy rzeczy w nieprzemakalne worki. Na widok mojej wspaniałej latarki–czołówki, z której jestem strasznie dumny, Misza i Aliosza wybuchają śmiechem: kto zabiera latarkę do Karelii o tej porze roku? –– przecież tu przez najbliższe dwa tygodnie będzie na okrągło jasno jak w dzień. Istotnie, wg zegarka jest już poźno a słońce grzeje jak gdyby nie było tego świadome.

Wtorek, 8.VII

Całą noc było jasno. W każdym razie słońce było jeszcze na niebie o północy, kiedy się kładliśmy, i było już na niebie o siódmej rano, gdy wstawaliśmy. Aleksandr Iwanowicz zawiózł nas z bagażami i łódką do miejscowości *Janiszpolie* nad Zatoką Kondopożską jeziora Onega. Ta zatoka

sama sprawia wrażenie wielkiego morza. Nie ośmielamy się chodzić po niej na skróty, staramy się trzymać brzegów, co czasem zmusza nas do wielogodzinnego wiosłowania wokół zatoki. Jezioro Onega ma bardzo rozbudowaną linię brzegową. Mnóstwo zatok, półwyspów, wysp i archipelagów. Czasem można przeskoczyć z jednego brzegu zatoki na drugi idąc od wyspy do wyspy. O skokach po głównej części jeziora nawet nie marzymy. Pali słońce, nic nie wieje, idziemy na wiosłach zmieniając się co mniej więcej 40 minut. Co jakiś czas przybijamy do jakiejś wysepki i wskakujemy do wody. Bardzo ciepła i bardzo przejrzysta. Miękka jak w górach. Czasem w zasięgu oczu daleko pojawia się jakaś łódka rybacka lub motorówka, poza tym ani żywego człowieka.

Zbiera się na burzę. Nie jest jeszcze jasne, czy nas zawadzi, wydaje się, że idzie trochę bardziej na SW, jakby specjalnie nad rezydencję Jelcyna w *Szujskoj Czupie*. Na wszelki wypadek przybijamy do jakiejś wyspy w archipelagu *Wielikije Ostrowa* (wcale nie są specjalnie wielkie). Przez ostatnie setki metrów towarzyszy nam silny wiatr i podnosząca się fala i Misza musi się przy wiosłowaniu dobrze zapierać nogami. Rozstawiamy na wyspie namiot i zabezpieczamy rzeczy przed deszczem, który właśnie zaczyna kapać. Jednak na kapaniu się kończy. Wydaje się, że główna część burzy istotnie była dla Jelcyna a nas zawadził tylko skrawek. Niespiesznie robimy obiad. Ok. 20:00 zwijamy namiot z rzeczami i płyniemy dalej. Słońce stoi wysoko na niebie i, jak mówi Aliosza, ,,*Katiegoriczieski otkazujetsja sadit'sja*''. Tafla wody znowu całkiem gładka i ani śladu wiatru. Upał.

Sprawdziliśmy wcześniej, że słońce jest dokładnie na południu (wg kompasu) ok. godz. 14:30 zamiast o 12:00. To jest bardzo duża różnica dla kogoś, kto chciałby prowadzić nawigację wg słońca zamiast wg kompasu: 37.5 stopnia kątowego. Jedna godzina różnicy wynika z czasu letniego; druga z tzw. czasu dekretowego wprowadzonego na terenie ZSRR w 1930 i przesuniętego o godzinę do przodu w stosunku do właściwych stref czasowych. Te dwie poprawki powodują, że St.Petersburg leżący na 30 stopniach długości wschodniej ma teraz czas, który jest astronomiczny na 60 stopniach. Nie mam pojęcia, skąd się bierze dodatkowe pół godziny: jesteśmy jakieś 5 stopni **na wschód** od St.Petersburga, więc należałoby odjąć 20 minut a nie dodać 30. Jakieś anomalie?

Ok. pół do dwunastej w nocy, po opłynięciu cypla o nazwie *Czażnawołok* padamy na nocleg na Zajęczych Wyspach już poza Kondopożską Zatoką. Nazwy wielu cypli kończą się na „*...nawołok*'', słowo to (od *wołoczit'* –– wlec) oznacza płytką łachę przedłużającą pod wodą półwysep; nie bardzo rozumiem, czym *nawołok* różni się od *otmieli*. Jest ciepło i pełno bardzo nieprzyjemnych i agresywnych komarów; być może to w związku z burzą, która znowu zaczyna chodzić dookoła. Nasze maście i psikacze ślicznie pachną i być może troszeczkę zmniejszają zajadłość napastników.

Środa, 9.VII

Jesteśmy zdrowo pocięci przez komary bo moskitiera w moim namiocie okazała się porwana. Zaszywam ją z rana a komary przeszkadzają mi w tym zawzięcie. Pogoda jest niejasna: w nocy padał deszcz, teraz jest silny wiatr i fale. Ale chmury wydają się schodzić z nieba i wiele fragmentów już jest wolnych. Zanim wypływamy, wiatr prawie zupełnie ucicha i pozostaje martwa fala (po rosyjsku, nie wiem dlaczego, *zyb'*). Przed nami *Zaliw Bolszoje Oniego*, on sam większy niż Śniardwy. Na horyzoncie na NE ta ledwie widoczna linia to brzeg, do którego mamy się dostać; wg mapy jest to kilkanaście kilometrów. Na NW i na SE niebo łączy się z wodą; przy tym na NW zatoka powinna się niedługo skończyć lądem, a na SE jest czarna dziura: główne jezioro Onega. Powinniśmy powiosłować na NW i zużyć jakieś dwa dni na opłynięcie zatoki. Ale przecież prawie nie wieje, chociaż kołysze... Postanawiamy pójść na skróty. Ja mam siedzieć przy sterze. Jako warunek stawiam, że Misza jeszcze przez chwilę przytrzyma ster i szot i da mi się wysiusiać. Okazuje się to dużym problemem w takiej łódce. Nie mogę sobie pozwolić na stanięcie na burcie, bo bym przewrócił łódkę. Muszę stać w linii kilu. Ale wtedy w środku długości łódka jest za szeroka a przy dziobie i rufie za wysoka. W dodatku strasznie nas buja martwa fala. W końcu oddaję mocz w jakimś akrobatycznym zwisie przy samej rufie.

Coraz bardziej się wypogadza ale jednocześnie wiatr robi się silniejszy, z grubsza północny. Niestety nie wszystko jest dobrze z tym żeglowaniem. Na silniejszym wietrze łódka robi się przeraźliwie nawietrzna: ster trzymam odchylony w prawo na burtę a i tak skręcamy w lewo, do wiatru. Co jakiś czas muszę prosić Miszę o użycie wiosła w celu dopomożenia sterowi. Mówiłem, że ma za małą płetwę! W dodatku, gdy płaski dziób łódki uderza o falę, łódka prawie staje w miejscu, przez co mamy jeszcze gorszą sterowność. Nigdy nie trymowany bawełniany żagiel wydyma się i rozciąga na wietrze; ponieważ jego dolny lik nie jest przymocowany do bomu, tworzy się na nim wielki brzuch. Przednia część brzucha łopocze, a tylna ciągnie tak, że mamy niebezpieczny przechył; oczywiście to ciągnięcie z tyłu powiększa jeszcze nawietrzność. Mam do wyboru albo telepać się w miejscu i dryfować, albo porządnie odpaść; decyduję się na to drugie. Widzę, jak coraz bliższy brzeg na przeciwko nieubłaganie ucieka mi w lewo, kiedyś się skończy, bo to półwysep, a wtedy znajdziemy się na naszej łupince w czarnej dziurze jeziora Onega. Toczy się wyścig z umykającym brzegiem. W odległości kilometra przechodzi jakiś porządny jacht; on pewnie nie musi używać wiosła, żeby odpaść. Wiatr robi się bardzo silny, fale mają ponad metr wysokości, na falach pojawiają się białe baranki. Ta łódka ma w papierach zakaz wychodzenia na wodę, gdy wysokość fali przekracza 30 cm. Ręce mam zgrabiałe i sztywne, ale wiem, że łódki nie przewrócę, chyba że coś pęknie. Nic niestety nie mogę poradzić na fale wchodzące do niej bez pukania raz przez jedną, raz przez drugą obniżoną burtę. Misza prócz wiosłowania musi jeszcze na bieżąco wyczerpywać wodę, w dodatku wymagam od niego, żeby trochę balastował, bo inaczej muszę tak luzować szot, że bom na przechyłach moczy się głęboko w wodzie. Aliosza siedzi ściśnięty w dziobie przed masztem i nic nie może zrobić, więc się tylko denerwuje; oczywiście w tych warunkach mowy nie ma o jakiejś zamianie miejsc. Właściwie należałoby zarefować żagiel, ale w ogniu walki nie przychodzi mi do głowy, jak to zrobić, przecież żagiel nie daje się zrzucić w dół, trzebaby go owinąć dookoła masztu a nie bomu, w tym celu Aliosza musiałby wstać, czego raczej na tej łódce na tych falach czynić nie należy... Lepiej płyńmy tak jak jest.

Jacht nie oddala się, wykonuje jakieś dziwne manewry: robi kółeczka, zrzuca i stawia foka... Wpadamy w przybrzeżną strefę osłoniętą przez brzeg. Najwyższy czas! Na zatoce *Bolszoje Oniego* hula teraz potężny wicher i przewalają się bałwany. Jacht przestaje bawić się w kotka i myszkę z samym sobą i odpływa. Przychodzi nam do głowy, że widział nasze problemy i na wszelki wypadek wolał nam dyskretnie dotrzymać towarzystwa. *Bolszoje spasibo!*

Z trudem łapiąc równowagę po pięciu godzinach falowania, wychodzimy na brzeg taszcząc za sobą łódkę. Woda już nie jest ciepła: fale przyniosły z głębin trochę prawdziwego karelskiego jeziora. Oglądam starannie wszystkie zasadnicze elementy takielunku. Burty i dno bez widocznych uszkodzeń; zamocowanie steru bez zarzutu, chociaż miałem wątpliwości; skrzynka mieczowa bez zarzutu; wszystkie linki *normalno*. Żagiel wyciągnął się bardzo i to nieodwracalnie, w dodatku będzie się chyba jeszcze dalej wyciągał i to w ten sam nieprawidłowy brzuch. W sumie: udało się bez strat własnych. Chwilę siedzimy nie mając sił zająć się obiadem.

— *Ja robko priedłogaju* — mówię — *nikogda bolszie tak nie diełat'.*
— *A ja* ***nastojcziwo*** *priedłogaju* — dodaje Aliosza — *nikogda bolszie tak nie diełat'.*

Jesteśmy więc jednomyślni.

Planowaliśmy żeglować w kierunku NE i przejść zatokę po możliwie najkrótszej drodze, ale północny wiatr nie puścił, więc ostatecznie kurs nad dnem był mniej więcej E. I trafiliśmy prawie dokładnie w cieśninę *Piczie–Sjelga* między półwyspem a całym archipelagiem wysp. W tą właśnie cieśninę należało trafić. Oczywiste miejsce biwakowe mieści się już w cieśninie. Jest to *sjelga* — wysoki odkryty fragment brzegu, nie umiem znaleźć polskiego słowa. Częsty biwak wielu ludzi, co można poznać z daleka po brzozach odartych z kory na ogień. W tej krainie sosen i brzóz palenie ognia jest bardzo łatwe, nawet w czasie deszczu. Nikt nie używa na podpałkę ani papieru ani świeczek, a tylko *bieriestu* czyli paski kory zdjęte z żywej brzozy. Aliosza twierdzi, że jeśli zdjęta warstwa jest wystarczająco cienka, tzn. tylko biała bez naruszania zielonego pod spodem, to kora łatwo się tam odbudowuje. Na dowód pokazuje mi drzewa, na których białe w widoczny sposób jest w trakcie odbudowy; a także inne drzewa, gdzie głębsze cięcia przerodziły się w trwałe szramy.

Na brzegu znajdujemy niestety jeszcze wiele

Na brzegu znajdujemy niestety jeszcze wiele innych śladów świadczących, że ludzie tu biwakują. W siąpiącym deszczu (te ciągłe zmiany pogody!) rozstawiamy namiot, Misza zaraz się w nim zanurza i twardo zasypia (narobił się na wodzie!), Aliosza gdzieś znika a ja zajmuję się ogniem. Po pewnym czasie Aliosza wraca z garścią poziomek i dwoma małymi *podbieriozowikami*. Na duże dobre grzyby było ostatnio zbyt sucho. Może teraz się to zmieni. Jest dosyć chłodno, więc i komarów ani śladu.

Czwartek, 10.VII

Wstajemy ok. 6:00; od dawna świeci wesołe słońce. Idziemy na wiosłach a potem na żaglu. Z tym, że chłopcy nie chcą sterować, gdy idziemy na żaglu; mam wtedy monopol na ster. Kompleks po wczorajszym, czy co? Teraz właśnie w tych małych cieśninkach, gdy nic nie grozi, są właściwe warunki do nauki. Dobijamy do wysepki, na której (wg mapy) znajduje się opuszczona wioska *Lielikowo*. Aliosza twierdzi, że w Rosji jest teraz bardzo wiele opuszczonych wiosek. Mieszkańcy zostawiają zabudowania i cały majątek i przenoszą się do miast.

Ale *Lielikowo* nie jest opuszczone. Prawie każda chałupa ma lokatora — to *daczniki*, czyli letnicy. Na daczę nie trzeba dużo pieniędzy, wystarczy znaleźć opuszczoną wioskę i wtedy całe lato można w niej za frajer uprawiać ogródek korzystając z pozostawionych tam narzędzi, łódki i z *bani*. Na zimę na powrót do miasta. Najwspanialszą budowlą w *Lielikowie* jest śliczna drewniana cerkiewka z mnóstwem wieżyczek; w tym jedna duża *kołokolnia* z wejściem z wnętrza cerkwi. Oczywiście nie ma już dzwonu. Gdyby ta cerkiewka stała w Polsce, stanowiłaby zabytek i wszyscy by na nią dmuchali i chuchali; w końcu przywykliśmy chuchać i dmuchać na byle kawałek starej deski. Cerkiewka w *Lielikowie* nie jest żadnym uznanym zabytkiem. Z zewnątrz jest w dobrym stanie, ale w środku właściwie nic nie ma prócz śladów ognia; prawdopodobnie ktoś sobie w niej rozpalił ognisko, żeby się ogrzać w zimie. Na ogień użył oczywiście desek, z których cerkiewka jest zbudowana.

W miejscowości *Sjennaja Guba* znajduje się porządna przystań a w niej dwa duże jachty. Ich załogi machają do nas, żebyśmy przybili. Podchodzimy na żaglu w dobrym stylu, udaje mi się wykręcić z fasonem pod wiatr przed samą keją (jakie to wszystko łatwe bez fal!). Słyszę słowa uznania i zdziwienia, że na takiej łódeczce tak sobie radzimy. Zdziwienie zamienia się w pełne zaskoczenie, gdy opowiadamy skąd i którędy przyszliśmy. Na tej skorupce?! przez *Bolszoje Oniego*?!! przy wczorajszym wietrze?!!! Atrakcją jest również różnorodność miejsc naszego pochodzenia: Murmańsk, Kaliningrad, Gdańsk.

Robimy sobie obiad na kuchni gazowej jednego z jachtów. Do tego obiadu dostajemy trochę świeżych warzyw, rewanżujemy się czekoladą „Goplany''. Jachty są prywatną własnością; zostały kupione kilka lat temu *na chaliawu* czyli z niezasłużonej okazji za psie pieniądze od rozwiązujących się klubów żeglarskich. Właściciele mieszkają w Pietrozawodzku. Na każdym jachcie po cztery osoby załogi, wszyscy z Pietrozawodzka. Sami mężczyzni. W tym kraju na wielką męską przygodę nie zabiera się kobiet.

Wchodzimy na farwater statków i wodolotów. Wodoloty chodzą z Pietrozawodzka na wyspę *Kiżi*, gdzie mieści się słynny skansen i gdzie zamierzamy być jutro. Statki mają dłuższą trasę: St.Petersburg — Jez.Ładoga — Jez.Onega (w tym *Kiżi*) — *Biełomorskij Kanał* — Murmańsk. Razem około tygodnia. Te statki wydają się ogromne. Mają pięć pięter (pokładów) nad wodą i mnóstwo bogatych Niemców z lornetkami i aparatami fotografujących główną atrakcję Karelii, tzn. naszą łódeczkę. Misza mści się fotografując statek.

Padamy na nocleg na niewielkiej wysepce naprzeciwko *Kiżiej*. Nie trzeba wielkich umiejętności nawigacyjnych, żeby znaleźć tą wyspę: króluje na niej duża drewniana cerkiew z okładki naszego atlasu Karelii.

Piątek, 11.VII

Przybiliśmy do pomostu znajdującego się już na terenie skansenu; dzięki temu nie przechodzimy przez bramkę, przy której chcieliby od nas opłatę za wstęp. Mam przykazane nie otwierać ust w obecności osób wyglądających na pracowników skansenu, bo cudzoziemcy w takich miejscach płacą za wszystko o wiele drożej –– trudno mi ten zakaz traktować jako komplement względem mojego rosyjskiego akcentu!

Kiżi były niegdyś jednym z ważniejszych miejsc kultu religijnego. Ludzie pielgrzymowali tu z daleka i przeprawiali się na wyspę. Teraz na tym miejscu powstał skansen. Stoją obok siebie dwie bardzo efektowne i duże drewniane cerkwie. W jednej jest muzeum ikon i zdjęć; do drugiej nie można wejść. Muzeum niezbyt ciekawe; wnętrze cerkwi (jak zwykle) martwe i nieczynne, najlepiej te zabudowania oglądać wyłącznie z zewnątrz.

Aliosza i Misza zgodnie twierdzą, że zasadniczy styl karelskiego budownictwa ukształtował się koło XII wieku: poziome belki na zrąb, dach z *dranki* czyli gontów, wszystkie zabudowania w miarę możności pod wspólnym dachem, żeby w zimie było milej. Darmowych belek było tu zawsze pod dostatkiem, każdy stawiał sobie taką chałupę, na jaką miał siłę. ––*Na sjewierie żili bogato* –– twierdzi Aliosza. Nie ogacano chat żadnymi tam słomianymi warkoczami (jak u nas) tylko w dolnej belce wycinano rowek, w który ciasno wchodziła górna belka. Ok. XIV w. nastąpiła zmiana: zaczęto wycinać rowek w tej górnej belce a nie w dolnej, żeby wilgoć nie miała rowka, w którym mogłaby się zbierać. W skansenie mamy dużo chat w obu stylach architektonicznych (z rowkiem w dole i w górze). Następne zmiany nastąpiły dopiero w drugiej połowie XX wieku: zaczęto gonty zastępować eternitem. Ale nadal buduje się z belek na zrąb i bez ogacania. Możemy to potem sprawdzić naocznie po wyjściu ze skansenu do wsi.

Odbijamy od *Kiżiej* i udajemy się w drogę powrotną. Zapewne zajmie ona więcej czasu, bo tym razem nie będziemy robić skrótów przez *Bolszoje Oniego*. Z obliczeń czasu wynika, że będę się musiał wyokrętować przed końcem i przez ostatnie 2 dni załoga łódki będzie dwuosobowa. Dlatego nalegam, żeby chłopcy trenowali się w używaniu żagla. Steruje po raz pierwszy Misza. Ma dosyć silny ale bezproblemowy fordewind, bo zwroty przez rufę na tej łódce nie sprawiają groźnego wrażenia (brak want). Idzie mu dobrze do momentu, gdy już naprzeciw *Sjennoj Guby* uderza mocno mieczem o jakiś podwodny pień. Właściwie można było iść bez miecza, ale niedawno zmiennymi kursami omijaliśmy jakieś wysepki i miecz pozostał w skrzyni mieczowej.

Do łódki zaczyna się wlewać woda. Mamy do wyboru zawrócić i zrobić kilkadziesiąt metrów pod wiatr do najbliższej wyspy, lub przeciąć fordewindem zatoczkę (ok. 1 km) i dobić do lądu stałego. Właściwie bez logicznego powodu wybieram ląd stały, chłopcy się nie sprzeciwiają. Płyniemy dość szybko, ale i tak po drodze trzeba na bieżąco wylewać wodę. Na brzegu okazuje się, że od uderzenia puściło zamocowanie skrzyni mieczowej i woda cieknie tamtędy. Misza z Alioszą idą do wioski po śruby (a więc wiodła mnie Opatrzność, żeby tym razem nie na wyspę). Po jakimś czasie wracają z dużymi wkrętami do drewna. Skręcamy skrzynię mieczową jak umiemy. Jednak tych wkrętów jest za mało. Kiedy już wydaje się, że klops, Misza skądś wyczarowuje jeszcze dwa wkręty i kończymy robotę. Nie chce tylko zdradzić, skąd je wziął, a przecież wszyscy widzieliśmy, że skrzynka bosmańska była pusta.

Stawiamy łódkę ostrożnie na wodę –– niestety cieknie. Pływamy już wystarczająco długo, żeby nie mieć nadziei, że drewno jeszcze napęcznieje i przestanie ciec. Zaczynamy z Miszą kombinować z wpychaniem jakichś sznureczków a Aliosza znika. Z tymi sznureczkami wygląda dość beznadziejnie –– sami nie bardzo wierzymy, że to może trzymać. Zaczynam się zastanawiać nad możliwością transportu na daczę drogą lądową. Ale ten ląd stały okazuje się tylko dużą wyspą (*Ostrow Bolszoj Klimieckij*) i ma z lądem połączenie tylko wodolotem –– dla nas niezbyt praktyczne. W zimie jeździ się tu samochodami po zamarzniętym jeziorze, ale jest akurat lato. Pojawia się Aliosza ze skarbami z jakiegoś śmietnika: stara puszka i luźne listki papy dachowej. Po chwili płonie ognisko i Aliosza w puszce grzeje papę po czym z roztopionej smoły wyjmuje kombinerkami pozostały tam papier. Żeby zebrać puszkę smoły, trzeba się dość dużo nawytapiać, jednak pod wieczór mamy już dosyć, żeby przystąpić do smołowania cieknącej szczeliny pod skrzynią mieczową.

Sobota, 12.VII

Podział obowiązków na dzisiejszy poranek: Misza z Alioszą jeszcze posmołują, bo coś tam jeszcze nie jest idealnie, a ja tymczasem pójdę do wsi po mleko i jaja. Jestem w wiosce *Pietry*, wszyscy mieszkańcy jeszcze śpią, chociaż już jest ok. 7:30. Idę dalej drogą, dochodzę do wsi *Plieszki*; coś się niby rusza, ale też sennie. Zawracam do Pietrów, jest już po 8:00, jedna chałupa ma uchylone drzwi a obejście takie, że mogą mieć krowę. Pukam, nikt nie odpowiada; wchodzę do sieni, pukam w drzwi do pokoju, nikt nie odpowiada; otwieram te drzwi –– a tam piętrowe łóżka a na nich mieszkańcy w pełnym śnie! Jest już koło 8:30, a oni jeszcze śpią! Wycofuję się i natykam na gospodynię, która jednak już wstała. Krowę będzie doić o jakiejś dziewiątej, więc mam przyjść ponownie za jakieś 40 min. Nawet krowę przystosowali do późnego wstawania; do 9:00 nasze krowy zaryczałyby się chyba na amen.

Po namyśle doszedłem do wniosku, że to późne wstawanie wieśniaków nie musi być wynikiem lenistwa. Po prostu powody, dla których u nas na wsi wstaje się w lecie wcześnie, tutaj nie działają. Nie ma potrzeby wykorzystywania dnia do najmniejszej minutki, bo dzień trwa 24 godz. na dobę. Można spokojnie pracować w polu o północy i spać do 9:00. Ciekawe, czy godziny wstawania ulegają zmianie w sierpniu, kiedy dzień się gwałtownie kurczy?

Kiedy ok. 9:20 ponownie odwiedzam chałupę, gospodarz (na oko ze 35 lat) siedzi na przyzbie i owija nogi onucami. Czy ja kiedyś w życiu widziałem prawdziwe onuce? Nie jestem pewien, może kiedyś w dzieciństwie.

Mamy śniadanie nietypowe, z jajecznicą i dużą ilością mleka prosto od krowy. W międzyczasie Misza i Aliosza zasmołowali skrzynkę mieczową i teraz już naprawdę nie cieknie. Znowu żeglujemy i tym razem steruje głównie Aliosza, aż do wyjścia na zatokę *Bolszoje Oniego*, gdzie ja przejmuję ster. Idziemy teraz wzdłuż brzegu, mniej więcej na NW (wiatr z N), a co tylko się oddalimy, to zaraz wykonujemy hals do brzegu. Jak grzeczne dzieci. W końcu rozbijamy się na skalisto–kamiennej wyspie archipelagu*Lipowskije Ostrowa*. Po ostatnich wiatrach woda jest już taka zimna, że tylko ja się kąpię. Kamienie porasta jakiś nieznany mi rodzaj mchu –– jasnozielony, suchy, bardzo głęboki. I dobrze, że głęboki, bo inaczej kamienie by nam w nocy przeszkadzały spać. Nad nami latają mewy i śmieją się ludzkim głosem: ha–ha–ha–ha–ha. Gdańskie mewy śmieszki tego nie robią, albo przynajmniej nie do tego stopnia. Misza mówi, że murmańskie mewy płaczą jak niemowlaki.

Niedziela, 13.VII

Robimy sesję zdjęciową łódki. Misza stoi na wysokim skalistym brzegu z dwoma aparatami i pstryka raz z jednego a raz z drugiego, jak tylko Aliosza pod pełnym żaglem zbliży się na odległość strzału.

Odchodzimy późno i pechowo. Zaraz po postawieniu żagla puszcza fał (hmm, czy to można nazwać fałem, jeśli mocuje koniec szotowy grota do noku bomu?). Awaria niegroźna, tyle że zmywa nas na brzeg wyspy zanim sobie z nią radzimy. Może trochę dlatego, że ja teraz demonstracyjnie siedzę w dziobie i każę chłopcom samym radzić sobie z drobniejszymi trudnościami. W końcu pojutrze znikam i będą musieli sami. Odbijamy od brzegu, stawiamy żagiel i wtedy Misza postanawia, że jednak dla niego wieje za silnie i albo ja usiądę przy sterze, albo pójdziemy na wiosłach. Wcale tak silnie nie wieje, tylko jesteśmy na dużym jeziorze i moim kolegom wrócił lęk przestrzeni. Przejmuję ster –– i w tym momencie maszt nagle się przechyla i pozostaje w dziwnie nachylonej pozycji. Awaryjnie dobijam do kolejnej wysepki archipelagu.

Okazuje się, że stopa masztu oderwała się od zęzy. Była na cieniutkie wkręty i na jakiś klej; ale nawet nie była przymocowana do kila tylko do sklejki poszycia! Dobrze, że nie rozwaliło tej sklejki. Misza patrzy smętnie i oświadcza, że zawiódł się na swoim najlepszym koledze w

Murmańsku. To nie Misza a kolega mocował maszt a Misza miał takie zaufanie do jego solidności, że nawet nie sprawdził.

Misza wyczarowuje kolejne wkręty do drewna. Już wiemy skąd: wykręca je z mniej istotnych części łódki. Na razie nie wiemy jeszcze, które elementy konstrukcji Misza uważa za mniej istotne, bo on to robi, gdy nikt nie patrzy, a dziurki starannie maskuje jakimiś drewienkami. Może nam na przykład odpadnie mało istotne dno? Aliosza robi przegląd i raz po raz wykrzykuje oburzony: „–– Belka trzymająca maszt? Ją przecież powinieneś traktować jak świętość! Misza, wykręciłeś ze steru? Jak śmiałeś!''. Dla Miszy nie ma świętości. Marzy sobie, że przyjedzie do domu i powkręca w łódkę wiele niepotrzebnych śrubek różnych formatów, żeby można było bezkarnie wykręcać. Nieśmiało proponuję, żeby nie wkręcał tych śrubek w łódkę, tylko włożył do skrzynki bosmańskiej, ale to by chyba było zbyt rewolucyjne rozwiązanie. Przykręcamy solidnie stopę masztu do kila, wywiercone przy tej okazji dziury starannie smołujemy i... rezygnujemy na dzisiaj z żeglowania. Odtąd do końca dnia wiosłujemy zmieniając się co pół godziny. To jest ciężka praca, bo idziemy pod wiatr i sporą falę.

Ciągle jeszcze nie opuściliśmy archipelagu Wysp Lipowskich, gdzie spaliśmy. Na osłoniętym kolejną wysepką kawałku stałego lądu znajduje się przystań a w niej stoi stateczek rybacki; załoga macha na nas, żebyśmy podpłynęli. I oto siedzimy w kubryku przy zastawionym stole a nasi współbiesiadnicy są tak pijani, że nawet nie zauważają, że my nie pijemy. Wiadomo, niedziela. Jeden z członków załogi jest właścicielem wsi. No, może nie właścicielem, z prawami własności jest w całym kraju ogólnie niejasno, ale jedynym mieszkańcem. Cztery lata temu przyjechał tu sobie, znalazł opuszczoną wieś i w niej zamieszkał. Teraz wieś jest jego. Mieszka w niej zimą i latem; tyle, że latem zaciąga się na statek rybacki, żeby dorobić. Opuszczamy wesoły statek wtedy, gdy załoga zaczyna konkurs skoków z pokładu do wody na brzuch. Aliosza uważa, że nie jest pewne, czy jutro będą pamiętali o naszej obecności, będą pewnie pili *pochmielie*, ale stateczek wypłynie i będą pracowali. Wiadomo, poniedziałek.

Ostatecznie żegnamy ostatnią wysepkę Lipowską i przez kilka godzin wiosłujemy przy samym brzegu pod wiatr i falę. W końcu stajemy na noc w rozkosznie osłoniętej zatoczce na sporej wyspie *Miż*. Aliosza znajduje wielkiego zdrowego grzyba.

Poniedziałek, 14.VII

Znowu nietypowe śniadanie: grzyb w puree ziemniacznym. Okazuje się, że górna część żagla bardzo się przetarła o maszt i w każdej chwili może puścić. Refujemy grota owijając go dwa razy dookoła masztu. Idziemy na żaglu baksztagiem do cypla *Liżnawołok* a następnie halsujemy na NW, w stronę Wysp Jelenich. Po zrefowaniu żagla łódka nie jest już tak wściekle nawietrzna, ale żagiel jest za mały. Po każdym przyhamowaniu o falę rozpędza się jak cielna krowa w smole. Od północnej wyspy Jeleniej idziemy na wiosłach przez *Bolszuju Liżiemskuju Gubu*. Padamy na nocleg na cypelku po drugiej stronie zatoczki, na której leży wioska *Watnawołok*. Jest tu pusto i nie ma śladów świeżych biwaków w przeciwieństwie do wszystkich innych miejsc w okolicy.

To jest koniec mojej podróży. Idę z Miszą drogą 4 kilometry do stacji kolejowej *Iliemsjelga*, żeby dowiedzieć się o pociągi. Przechodzimy przez były obóz pionierski. Ruina; stoi i niszczeje. Droga ma paskudną nawierzchnię z czegoś strasznie pylącego; jak coś przejedzie, to tuman pyłu długo stoi w powietrzu i trudno jest w nim oddychać. Po powrocie chodzimy w tę i nazad po wiosce w poszukiwaniu mleka. Możnaby sądzić, że mieszkańcy nie wiedzą, kto w ich wiosce ma krowę, bo zawsze nas kierują na drugi koniec wsi i dodają, że nie wiedzą na pewno. W końcu natrafiamy na dwie starsze kobiety bardzo pijane i w wesołym nastroju; precyzyjnie tłumaczą nam, gdzie pójść. Zmowa całej wsi, o której tylko pijaczki zapomniały, żeby jednej gospodyni nie dać zarobić? Do mleka dostajemy historię całego życia i świeżo usmażonego *blina*.

Odkryliśmy dlaczego na naszym cypelku nie ma śladów po biwakach. Otóż rozbiliśmy się przy samym nieogrodzonym cmentarzu wiejskim. Duchy będą miały do nas blisko w nocy. Za to z obozu pionierskiego słychać wesołą zabawę połączoną z rozbijaniem szyb w barakach.

Wtorek, 15.VII

−− *Rebiata, czaj gotow?*

Cztery starsze osoby przypłynęły ze wsi łódką porobić porządki na cmentarzu i przyjaźnie reagują na nasze ognisko. Ale do wypicia z nami herbaty nie dają się namówić mimo, że zaprasza i Misza i Aliosza. Nagle przypominam sobie, że tu jest taki zwyczaj, że proponować trzeba trzy razy; pierwsze dwa razy gość musi odmówić z grzeczności, dopiero trzecia odmowa jest traktowana poważnie. Moje zaproszenie jest więc tym trzecim. Ale oni i tak nie chcą naszej herbaty. Może **każdy z nas** powinien zapraszać trzy razy?

Wyokrętowuję się: zbieram moje rzeczy, starannie się kąpię i golę w jeziorze, zmieniam ubranie. Nagle przychodzi mi do głowy, że po moim odjeździe Aliosza i Misza zostaną bez kompasu. Oni jednak nie chcą słyszeć o tym, żebym zostawił im swój, bo nie wiadomo, jak mogliby go potem oddać. Ale przecież mają przed sobą jeszcze dwa dni po sporej wodzie i gdyby przyszła mgła, to bez kompasu mogą mieć trudności. ,,Zapominam'' kompas gdzieś w łódce, powinni go znaleźć przy najbliższym wypakowaniu rzeczy. Odbieram od nich przyrzeczenie, że nie będą próbowali przechodzić dookoła cypla *Czażnawołok* na żaglach. Problem z tym cyplem jest taki, że przy stale tu wiejącym wietrze północnym lub północno−zachodnim należy wyostrzyć z bezproblemowego baksztagu do bajdewindu i to w dość dużej odległości od brzegu (kamienie na dnie); jeśli to nie wyjdzie, to łatwo można zdryfować na środek jeziora Onega. Doradzam niezależnie od pogody dobić do brzegu na Wyspach Zajęczych, starannie owinąć żagiel dookoła masztu, żeby go potem coś nie rozwiało na wodzie, obejść na wiosłach cypel przy samym brzegu (bez miecza można podejść blisko) i dopiero w zatoczce po drugiej stronie postanowić, czy dalej na wiosłach czy na żaglu. Na razie nic nie wieje. Aliosza z Miszą odchodzą na wiosłach a ja po raz pierwszy widzę tą łódkę na wodzie z zewnątrz.

Przy drodze na stację znajduje się *swałka* śmieci. Zostawiam na niej moje bardzo sfatygowane dżinsy z setką większych i mniejszych dziur. Chętnie zostawiłbym też podarte i rozkłapciane adidasy, ale wtedy musiałbym iść dalej w gumowcach. Na stacji spotykam się z prywatną inicjatywą: pijana babcia czeka na pociąg z dwiema wielkimi torbami lodów; będzie je sprzedawać pasażerom po 2 tys. rubli (w Pietrozawodsku są na każdym rogu ulicy po 1100). Opowiada mi o rodzinie: syn nie dostaje pensji już od 4 miesięcy, ale nie może dorabiać, bo pracuje w fabryce; synowa za miesiąc będzie rodzić, więc nie pracuje; matka synowej pracuje, ale jej nie płacą; ona sama jest już na emeryturze, więc może sprzedawać te lody i utrzymywać całą rodzinę. To wydaje się być typowe: mężczyżni i w ogóle młodzi **pracują** na jakimś bezpłatnym etacie a **zarabiają** na nich renciści.

W Pietrozawodzku mam sporo czasu do nocnego pociągu a nie jest to specjalnie pasjonujące miasto. Ciągnie mnie w stronę jeziora Onega. Na *Nabierieżnoj* stoją abstrakcyjne konstrukcje artystyczne a wzdłuż niej prowadzi oznakowana ścieżka rowerowa. Inną taką ścieżkę spotykam w parku; nie wygląda na to, by były zintegrowane w jakiś przemyślany system komunikacji rowerowej (ale w Gdańsku też nie są). W przystani stoi kilka wodolotów i dwa wielkie statki, jakie widzieliśmy między *Sjennoj Guboj* a *Kiżami*. Na nabrzeżu stoi gość z fletem i ślicznie gra z nut; nie ma przed nim żadnego pojemnika na pieniądze, robi to dla czystej sztuki. Nie przeszkadza mu brak słuchaczy. Wszystkie urzędowe napisy w Pietrozawodzku są dwujęzyczne; ten drugi język to chyba fiński –– w końcu jestem w stolicy Karelii.

Środa, 16.VII

Cały wolny dzień w St.Petersburgu. Kupuję sobie rosyjskie *kiedy* (trampki) i wyrzucam adidasy do śmieci. Nie idę do Ermitażu, bo od cudzoziemca chcą za wstęp 60 tys. rubli (11 USD; 4 razy drożej niż od Rosjanina) a ja i tak nie potrafię obejrzeć 10 obrazów bez poczucia, że już nie wiem na co patrzę. Kasjerka przed *Isakijewskim Soborom* próbuje mi strzępami angielskich słów wyjaśnić, że mam kupić bilet w kasie dla cudzoziemców. Reaguję z oburzeniem na fakt, że ona nie mówi mi tego po rosyjsku. W nagrodę za wygłoszoną tyradę otrzymuję tańszy rosyjski bilet.

Zostaje mi jeszcze sporo czasu. Postanawiam stracić go w jakimś kinie. Niestety, żadnych rosyjskich filmów nigdzie w centrum nie grają. Mam do wyboru amerykański pornos, amerykańską grozę i amerykańskie mordobicie ze strzelaniną. W końcu idę na amerykański film *Krajnyje miery* (*Extreme measures*) o nieetycznych eksperymentach medycznych. Co za chała! W dodatku nie mogę przywyknąć do tekstu czytanego po rosyjsku na tle amerykańskich dialogów; tak jak u nas w telewizorze, tylko że są dwa głosy, męski i damski. Za to kino *Kolizjej* (chyba idzie o *Colosseum* a nie o kolizję) olbrzymie, trochę w stylu *Isakijewskogo Sobora*, a w nim dwie pary zajęte sobą a nie filmem oraz ja.

W polskim wagonie sypialnym wszystko się otwiera i zamyka a w dodatku jestem sam w przedziale. Starannie odsypiam zaległości.

Do *witrynki wodnej* Stefana Sokołowskiego

Ostatnia modyfikacja: 14.I.1998